ROZMAITOŚCI.

Dnia 20 czerwca, N.er 25. roku 1846.

CZERKIESKA.

POWIEŚĆ Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA *).

Byłoto w sierpniu r. 1810go, w Persyi, w mieście Erywanie, które po całodziennym, smysły zagłuszającym upale, dopiero z zachodem słońca cokolwiek orzeźwiać i do życia obudzać się zaczęło.

Po wszystkich ogrodach publicznych, jako po zwykłych miejscach do schadzek w lecie u Persów, były rozmowy o możebnym wypadku zajęcia tego miasta przez Rosyjan, gdyż właśnie toczyła się wojna między temi dwoma mocarstwy, w której surdar, wielkorządzca prowincyi Eriwanu, odznaczał się bardzo chlubnie, i tylko jego nieustannym podjazdom, napadom i dość pomyślnym utarczkom z wojskami rosyjskiemi, winni byli mieszkańcy Eriwanu, iż nieprzyjaciele jeszcze pod miasto nie podstąpili. Atoli nie uspokajało to powszechnej trwogi, i wszystko co żyło, mimo niejednéj pomyślnéj wiadomości, spoglądało trwożliwie ku poblizkim spiętrzonym bryłom skał, azali one i teraz niewiernych wrogów wstrzymać zdołają.

O tymże samym czasie w pałacu surdara, tém siedlisku nieograniczonéj, samowolnéj, tyrańskiéj władzy, można było widzieć w kosztownie i z prawdziwie azyjatyckim przepychem przyozdobionéj komnacie – na kobiercu, wyścielonym miękkiemi poduszkami, niedaleko okna, wychodzącego na bezdenną przepaść, która całe warowne miasto Eriwan z jednéj strony okrążała i broniła — młodą niewiastę, leżącą tak cicho i nieruchomo, iż tylko głębokie, bolesne westchnienia, które się od czasu do czasu z jéj piersi wyrywały, o jéj tlejącem jeszcze życiu świadczyły.

Nareszcie podniosła się z łoża i stanęła w całym blasku owéj zachwycającéj piękności, o jakiéj tylko plastycy i malarze w chwili natchnienia marzyć mogą — podobna niebiańskiéj hurysce, czarującéj ową ślicznością kształtu, jaką szczególnie córy Kaukazu, przed innemi celują. Oblicze jéj, chociaż jak marmur blade, jaśniało urokiem bogini, a nawet wyraz głębokiéj boleści, malujący się w jéj rysach twarzy, przyczyniał się do powiększenia tego lubego zachwytu, jakim jéj płomienne, czarne oczy, jéj drobne koralowe usta, i ten zpoza nich bielejący się sznurek pereł, każde ludzkie spojrzenie miłośnie zajmowały. Wszystkie te wdzięki razem tworzyły czarowny obraz, któremu zapewne możnaby jeszcze było znaleźć jaki drugi na ziemi podobny, którego jednakże ten pięknością swoją przewyższyć, nie byłby w stanie.

Ale jakieżto myśli lub marzenia zajmowały tę piękną, samotniczą istotę w tak uroczystéj godzinie? Myślałaż ona o swojéj obecnéj niedoli? Albo marzyła o swojéj dawnéj, przeminionéj na zawsze szczęśliwości? Ach tak, niestety! Opłakiwała ona nie tylko swoje własne cierpienia, ale trawił ją oraz żal opuszczonéj rodziny, smutek drogich rodziców, a nadewszystko, nieukojony ból za jéj nad życie ukochanym przyjacielem, z którym tegoż samego dnia świętemi śluby połączoną być miała, i z którego ramion, właśnie w tymże samym dniu nielitościwie w te mury obrzydłego haremu, w niewolę tyrańskiego władzcy, porwaną została; gdzie ją sama myśl o jéj smutnéj przyszłości, do dzikiéj rozpaczy wiodła.

Jakże żywo przypominała ona sobie ową bolesną chwilę! Tylko jeszcze kilka godzin nie stawało do spełnienia uroczystego obrzędu, gdy wsparta na ramieniu swego Aleksego, oczekiwała przybycia przyjaciół i krewnych, słuchała z rozpłomienionem licem świętych przysiąg miłości, które jéj kochanek do ucha szeptał — aż oto nagle, jakby wichrem z piekieł zesłaną burzą, cała spokojna zagroda od nieprzyjacielskich jeźdźców otoczoną została. Aleksy walczył zapamiętale, i z wściekłością lwa dawał odpór najezdnikom, lecz cóż mu pomogła waleczność przeciw przemocy, gdy był sam jeden! Jakoż powalono go niedługo o ziemię; oraz związano i bié-

*) Zdarzenie to, zachowujące się dotąd w pamięci starszych mieszkańców krainy Eriwańkiéj, opisane jest w świeżo wydaném dziele angielskiém »Przygody w podróży po krajach kaukazkich« przez Pauletta Camerona, tudzież w obszernym kilkutomowym romansie tegoż samego autora.

dnego jéj ojca, a biedna Miriam, przyszedłszy z omdlenia do przytomności, ujrzała się niewolnicą, w ręku srogiego władzcy Eriwanu, którego nazwiska nigdy bez jakiejś tajemnéj grozy słyszéć nie mogła.

Byłto już drugi wieczór jéj niewoli, i smutno patrzyła przez okno na krainę, od zachodu słońca spromienioną, gdy oto jakiś szelest w drugim końcu komnaty, jéj uwagę zwrócił, a zarazem mały, w papiér owinięty kamyk, u nóg jéj upadł. Na obu końcach komnaty znajdował się duży, w głąb sali zapuszczony balkon o wysokich malowanych oknach, a w jedném z tych okien, okazała się teraz ręka, pozdrawiająca dziewicę, i w téjże saméj chwili zniknęła, zostawiając Miriam samę z rozwiniętą w ręku karteczką, na któréj ku niewymownéj radości, następne wyczytała wyrazy:

»Bądź ostrożną i miéj nadzieję; masz w tych murach przyjaciela, który chętnie swe życie poświęci, aby cię twojéj rodzinie powrócił. Uspokój się i nie trwoż; we trzy godziny po zachodzie słońca, przygotuj się do ucieczki.»

Jakaż zmiana! Co za przejście z tak okropnéj rozpaczy, do takiego szczytu niewysłowionego szczęścia! Na chwilę zastanowiła się wprawdzie dziewica, azali to nie była zdrada, ale cóż okrutniejszego mogło tu stać się dla niéj, czego mogła się więcéj lękać? wszak nic nie mogło być okropniejszém dla niéj, jak to, co ją tu czekało! Nie, ten cudowny wybawca byłto oczywisty zesłaniec nieba, i z gwałtownem też biciem serca liczyła ona te leniwo upływające chwile, aż do chwili zbawienia.

Nigdy jeszcze nie wydał się jéj czas tak długim; minuty były dla niéj wiecznością; wtém usłyszała lekkie pukanie do drzwi; było ono ledwie tak głośne, jak bicie jéj serca, które teraz omało że jéj w piersi nie pękło. Za powtórzeniem hasła uchyliła się u drzwi zasłona, a zpoza niéj okazała się osłonięta postać niewieścia, podnosząca palec jednéj ręki na znak milczenia, a drugą ręką, podająca Miriam zwykłą niebieską szatę Turczynek, w którą niewolnica przebrać się miała. Gdy to wszystko z największym pospiechem się stało, nieznajoma nadstawiła ucha, słuchając bacznie i długo, azali jakie niebezpieczeństwo nie grozi, a potem chwyciwszy szybko rękę drzącéj dziewicy, żywo z nią odbiegła.

Nie mówiąc do siebie ani słowa, spieszyły obie niewiasty ostrożnie przez długie, puste kurytarze, aż wreszcie przyszły do małéj fórtki, u któréj rygiel był odsunięty, a która wiodła na jednę z bocznych, odludnych ulic miasta. Jakoż nie zatrzymując się ani chwili, wyszły na świeże powietrze, gdzie po kilku krokach spotkała je jakaś tajemnicza, zakryta postać.

Miriam przelękła się zrazu, ale niebawem postrzegła, iż to była osoba znajoma jéj przewodniczce, która nawet krótką rozmowę z nowym przybyszem wszczęła. Przy tém uchyliła ona zasłonę na chwilę, przeco Miriam miała sposobność przypatrzenia się rysom jéj twarzy. Były to rysy wiekowéj już kobiéty, o bardzo brunatnéj cerze, jednak z ujmującym wyrazem dobrotliwości i szczéroty. Po nowo przybyłéj osobie zaś mogła Miriam tylko tyle przez przypadkowe odwinięcie się płaszcza rozpoznać, iż to był smukłego, zgrabnego wzrostu mężczyzna, i miał na sobie pyszny strój książęcego czerkieskiego pazia. Wkrótce skinęła przewodniczka na niewolnicę, aby szła za nią spieszno, a nieznjomy zbliżywszy się do Miriam, poszepnął jéj cichym lecz uprzejmym i dźwięcznym głosem, zwykłe tureckie pożegnanie „*Goda s'aklah!*" — Bóg z tobą! — i zniknął w téjże chwili.

Zaczém obie niewiasty puściły się spiesznie w dalszą ucieczkę i przyszły do bramy miasta. Była ona na szczęście otwarta; w oka mgnieniu minęły ją uciekające, i dostały się niebawem na pole, gdzie Miriam dopiero po raz piérwszy swobodnie odetchnęła, czując się zupełnie ocaloną.

Teraz chciała Miriam dowiedzieć się od swéj przewodczyni, komu winna swe wybawienie, lecz ta mówiła tylko knrdyjskiém, dla Miriam obcém narzeczem, i nie mogła jéj odpowiedzieć.

Oddalając się coraz bardziéj od miasta, zaszły obie po kilku godzinach w jakieś ustronie, gęstemi chaszczami nkryte, gdzie ich jakiś mężczyzna z dwoma osiodłanemi rumakami już czekał. Skoro tylko do tego miejsca się zbliżyli, już była Miriam w ramionach Aleksego, który wynagrodziwszy przewodniczkę kiesą złota, wysadził coprędzéj kochankę swoję na konia, a sam wskoczywszy na drugiego, lotem wiatru pognał z nią w głąb kraju.

Dopiéro po ujechaniu znacznéj odległości, wstrzymano spienione konie, aby cokolwiek wytchnęły, i wtedy dopiéro opowiedział Aleksy kochance, co się od chwili jéj nieszczęsnego porwania z nim działo.

»Przyszedłszy do opamiętania się, po otrzymanych ranach,"— mówił młodzieniec — „byłem cały krwią zbroczony, chociaż rany moje zresztą nie były niebezpieczne. Wymywszy je wodą i owiązawszy, podniósłem coprędzéj i odtrzeźwiłem zranionego ojca, i zawlókłem się z nim do poblizkiéj wioski, aby te wieść straszliwą rozgłosić i do pogoni za rabusiami wezwać. Ale niestety! — i wioska była także przez tychże rabusiów napadnięta i złupiona, i tylko postrachem wójsk rosyjskich od zupełnéj zagłady uratowana.

Nie wiedząc co przedsięwziąć, chciałem z początku udać się o pomoc do jednego z komendantów rosyjskich, lecz byłaby to rzecz daremna, gdyż za wiele czasu już upłynęło, a nadzwyczajna szybkość Eriwańskiego surdara w podobnych wycieczkach i odwrotach, była wszystkim znana.

»Wolałem zatém prosto udać się do Eriwanu, dokąd, jak się domyślać mogłem, rabusie zapewne ze swoją zdobyczą się schronili — co się też rzeczywiście stało. Zaraz po mojém przybyciu, usłyszałem o wczorajszym szczęśliwym powrocie wielkorządzcy do swéj stolicy, i przywiezieniu z sobą jakiejś rzadkich wdzięków niewolnicy.

„Z jakiemiż bolesnemi uczuciami błąkałem się około téj twierdzy, która teraz wszystko, co mi było w życiu najmilszém, w sobie zamykała. Wzrokiem rozpaczy mierzyłem te potworne skaliska i groźne mury, które mię od ciebie przedzielały! Ach, nie było znikąd pomocy, a jużto po raz trzeci słońce nademną nieszczęśliwym wschodziło!

»Nieznośny skwar słońca, wygnał wszystkich mieszkańców z doliny, tylko ja sam jeden leżałem u chłodnego potoku, który się w płynącą po dolinie rzékę wlewa; gdy wtém jakaś stara kobiéta, ta sama w istocie, która naszym aniołem-stróżem się stała, ku mnie się zbliżyła i kilka słów przemówiła.

„Poznałem natychmiast, iż pochodzi z jednego z plemion kurdyjskich, koczujących w pobliżu miasta; a że języka, którym mówiła, nie rozumiałem, przeto starała mi się, ile mogła, wytłumaczyć kilką słów tureckich, co ją do mnie przywiodło.

„Boże, jakaż radość przeniknęła serce moje, gdy naraz imię Miriam usłyszałem! Pojąłem wnet z pojedyńczych wyrazów i towarzyszących im znaków, iż mam się nazajutrz rano stawić na tém miejscu, gdzieś mię zastała, aby ci ucieczkę ułatwić; wreszcie doręczyła mi zwitek papiéru, na którym następne słowa wyczytałem:

„Masz w tych murach przyjaciela; uważałem ciebie i wszystkie twoje kroki, a to, co zrazu jedynie z samolubstwa i chęci zysku we mnie się odezwało, teraz w podziwienie i spółczucie dla ciebie i twojéj kochanki się zamieniło. Milcz i bądź ostrożnym — we trzy godziny po zachodzie słońca czekaj z dwoma rączémi rumakami przy drodze do Tiflis, obok ogrodu kupca Futtah Ali-beja, a niech ci Ałłah w swojéj łasce, szczęśliwie kochankę odzyskać dozwoli.”

Tak pomyślny przypadek, przechodził najśmielsze oczekiwania moje; wróciłem coprędzéj znowu do miasta, aby bez zwłoki mego konia do drogi zasilić, i oraz drugiego dla ciebie, najmilsza, nabyć, i o wyznaczonym czasie, na miejscu stanąć. Resztę wiesz, mój aniele; Ałłah poszczęścił mi, mam cię znowu!”

Ale któżto był ten potężny, a przecież im obojgu nieznany obrońca, który tak w porę wpływu swojego użyć umiał, a nawet w komnatach niedostępnego nikomu haremu władał? Bo, że owa stara niewiasta jedynie jako jego narzędzie tu działała, było zbyt widoczną rzeczą. Jakoż sama Miriam nie mogła sobie tego żadnym sposobem wytłumaczyć, gdyż od czasu swojego uwięzienia, oprócz kilku niewolnic, nikogo zresztą nie widziała.

Po krótkiém wytchnieniu koni, puścili się w dalszą podróż, a następny poranek ujrzał oboje kochanków wpośród rozległéj, pustéj, bezdrzewnéj równiny. Aleksy stojąc przechylony ponad siodło kochanki, i ssąc wzrokiem i ustami luby ogień jéj spojrzeń i całunków, zwróciwszy nagle wzrok poza siebie, wykrzyknął mimowolnie, grobowa bladość pokryła jego lica, oczy mu się rozwarły, i całe ciało pod wrażeniem niewymownéj trwogi zadrgało.

Przerażona Miriam zwróciła także w téjże chwili swe oczy w tęż stronę, w którą on się wpatrywał, i ujrzała w dali na widokręgu płaszczyzny, jednego, potém dwóch, trzech, czterech, a daléj cały orszak zbrojnych jeźdźców, czwałem naprzód jakby w pogoń za kimś pędzących.

»Zginęliśmy!” zawołała nieszczęśliwa dziewica, przyciskając pobladłe usta w ostatni pocałunek do ust kochanka. Lecz ten, w chwili ostatecznego niebezpieczeństwa, odzyskał całą moc ducha, uchwycił wodze rumaka swéj narzeczonéj, zaciął konie, i dzikim wichrem pognał z nią, ile tylko koniom sił stało.

Daléj i daléj gnali bez ustanku, daléj i daléj w niepohamowanym pędzie starali się ujść nieszczęściu — lecz niebezpieczeństwo zaostrza zmysły, a po półgodzinnéj ucieczce, nie mogli ukryć przed sobą, iż przestrzeń przedzielająca ich od pogoni, z każdą chwilą się umniejszała.

Im bliższe jednakże niebezpieczeństwo, tém dzielniejsze jest męstwo prawego męża. Młody Georgijczyk odpiął spokojną ręką rusznicę wiszącą u siodła; postanowił zwyciężyć lub zginąć, ale w każdym razie, ze szkodą swoich nieprzyjacioł.

Raz jeszcze, a może już ostatni, przycisnął kochankę do swego serca i poszepnął jéj: „Uciekaj, uciekaj, najmilsza! Ja tu zostanę i wstrzymam ich, zasłonię cię od pogoni, — gdy przy mnie będziesz, przez bojaźń o ciebie, stracę odwagę — moje i twoje ocalenie zależy od tego, aby czas uzyskać, a może nam się jeszcze powiedzie do jakiego rosyjskiego stanowiska zdążyć.”

Nieszczęśliwa kochanka uczuwszy tych słów prawdę, utkwiła w młodzieńcu łzami zalane oczy, i wyrwała się śmiało z ramion jego. Podczas gdy ona dziko naprzód pognała, Aleksy zwolnił cokolwiek biegu, i opatrzył broń palną. Najbliższy z doganiających go jeźdźców był już ledwie o trzysta kroków od niego; tuż za piérwszym, gnał drugi, a za tym gnała reszta. Skoro się tylko piérwszy z goniących na strzał zbliżył, zwrócił się Georgijczyk stojąc w strzemionach, wymierzył ku niemu, a wystrzeliwszy, puścił się czwałem. Koń dojeżdżającego Persa spiął się wysoko i rzuciwszy z bolu jeźdźcem o ziemię, sam padł nieżywy.

To wstrzymało pierwszy zapęd pogoni, a Georgijczyk nowém męstwem i otuchą zasilony, nabijając broń w pędzie, pomykał coraz daléj; lecz nieprzyjaciele, chociaż pierwszym strzałem na chwilę wstrzymani, wnet z podwojoną wściekłością za nim skoczyli, nie troszcząc się bynajmniej losem swego umierającego towarzysza. W mniejszéj już odległości strzelił Aleksy powtórnie, a średni jeździec drgnął w siodle, jęknął, i padł na wznak o ziemię. Wraz, jeden z jego towarzyszy podniósł się w siodle, wymierzył i dał ognia. Koń Georgijczyka biegł niewstrzymany, ale razem wstrząsł sobą, spiął się dziko, a w bok skoczywszy, w kłąb się zwinął i padł bez życia. Wyskoczyć z strzemion, dobyć szabli i stanąć w odpór nacierającym, byłoto jedną chwilą dla Aleksego, lecz byłto już zamysł beznadziejnéj rozpaczy. Po kilku cięciach, po ubiciu jeszcze jednego nieprzyjaciela, po szczęsném odparciu pierwszego ciosu, ugodził go cios drugi; Aleksy padł bez zmysłów o ziemię. Z nim razem, widząc to, spadła z konia jego kochanka, która z śmiertelną trwogą téj walce zdala się przypatrywała. Dwóch pozostałych jeźdźców rzuciło się wściekle na Aleksego, i chcieli mu ostateczny cios zadać, lecz tu gasnący już wzrok zranionego młodziana ujrzał jakąś spaniałą, rozkazującą postać która cwałem nadleciawszy, wstrzymała zaciekłych od zabójstwa. Nic już więcéj zraniony rozeznać nie mógł, a później, po ocknięciu się do nowego, bolesnego życia, uczuł się skrępowanym na koniu, który go niósł napowrót do twierdzy; lecz krew z jego rany była już zmyta, rana owiązana, a nawet to owiązanie, było tak staranne, iż mu boleści umniejszało. Przy jego boku jechał jeden z wojowników, w którym, gdy się w niego Aleksy wpatrzył, swego wybawcę od śmiertelnego ciosu poznał.

Byłto Kurdyjczyk, w kosztownym stroju, a tak olbrzymiego wzrostu, iż nawet jego ogromny koń turkomański, pod swoim herkulicznym jeźdźcem, niepokaźnie wyglądał. Wyraz jego twarzy, lubo surowy i rozkazujący, nie był przecież srogim, lecz odznaczał się owszem ową przebijającą się z serca dobrodusznością, jaka nieraz w osobach podobnie olbrzymiéj budowy ciała, dostrzedz się daje.

Gdy Aleksy cokolwiek przyszedł do siebie, ogromny Kurdyjczyk spojrzał badawczym wzrokiem na niego, i spytał go zcicha i ostrożnie: „Czy rozumiész po persku?”

„Rozumiem;” odpowiedział Aleksy słabym głosem.

„Więc mogę śmiało z tobą rozmawiać;” — szepnął tamten — „owe łotry nie mówią tylko po kurdyjsku. Słuchaj! Jeżeliby cię do Eriwanu zaprowadzono, zanim jeszcze gniew surdara ostygnie, zginąłbyś niezawodnie. Ale uważ to sobie, co powiém. Z nadchodzącym zmrokiem będziemy popod gęsty las przejeżdżać; nie trudno ci przyjdzie uwolnić się z więzów, które masz na ręku, gdyż powróz, na którym cię te łotry przodem jadąc trzymają, przetnę w ten sposób, że za lada poszarpnięciem, łatwo przerwać go możesz. Ten tylko sposób twojego ratunku; my wszyscy bowiem utracilibyśmy życie, gdybyś ucieczkę twoje nie samemu nieprzewidzianemu przypadkowi był winien. Otóż, skoro pod ów las przyjedziemy, przerwij powróz i uciekaj w gęstwinę; resztę zdaj na mnie — rozumiész?” Ostatnie to słowo wymówił srogim głosem, bo w téj saméj chwili reszta jeźdźców zbliżała się słuchać rozmowy. Młodzieniec zrozumiał, o co idzie, i odpowiedział pokorném spojrzeniem. Nato Kurd odjechał od niego; lecz Aleksy, który odtąd trwożném okiem go śledził, niebawem dostrzegł, jak on zręcznie powróz sztyletem przeciął.

Noc już wcześniéj zapadła, nim jeszcze do oznaczonego miejsca dojechano, a tak wielka ciemność osiadła okolicę, że nieszczęśliwy jeniec byłby w innym razie w żaden sposób lasu nie dojrzał; lecz w obecnym przypadku zależało zbyt wiele od jego baczności, aby nie miał wszelkiémi siłami wytężać źrenicę; jakoż i bez cichego napomnienia Kurda: „Teraz czas! — Niech cię Ałłah strzeże!” uwidział on czerniejące się przy drodze drzewa, i w tejże chwili spiął konia i szarpnął powrozem, a nagły wykrzyk jednego z jeźdźców na przodzie, oznajmił, iż zamiar ucieczki się powiódł — jeniec zniknął bez śladu.

Przewodzący Kurd, na znak pogoni, wystrzelił spieszno z pistoletu, i wraz z całym hufcem pogonił doliną, lecz w zupełnie przeciwnym kierunku od lasu — Aleksy ocalał.

Nieszczęśliwa Miriam wróciła do swego dawnego, przepysznego więzienia. Padała biedna z jednego omdlenia w drugie; prawie nieustanne konwulsyje wyniszczyły jéj ciało, upadła zupełnie na siłach, a przelęknione dozorczynie, które przy jéj łożu czuwały, utraciły już wszelką nadzieję zachowania ją przy życiu. Dopiero po kilku godzinach przyszła cokolwiek do siebie; lecz jéj wzrok osłupiały był wciąż w jedno miejsce utkwiony; oko jéj było martwe, bez wszelkiego blasku, twarz bez wyrazu.

W tejże chwili otwarły się drzwi, a pięknego wzrostu i ładnéj postaci wytwornie ubrany paź, wszedł lekkim krokiem do komnaty i zbliżywszy się do jéj łoża, wziął ją za rękę i przemówił do niéj łagodnym, pocieszającym głosem; lecz nadaremnie, bo go ani pojęła, ani słyszała. Wtém odezwał się z dołu dźwięk góralskiéj fletni, a po krótkiéj przygrywce dała się słyszeć melodyja piosnki czerkieskiéj. Miriam wstrząsłszy członkami, zaczęła z martwoty przychodzić do smysłów. Wrażenie, jakie ta piosnka na choréj sprawiła, było istotnie cudowne. Jakby nadludzką siłą ożywiona, porwała

się z łoża, przystąpiła do okna i spojrzała z półobłąkanym uśmiechem w otwierającą się przed jéj oczyma przepaść. Ale zaledwie tam wzrok utkwiła, gdzie wązki most nad rwącym strumieniem się zawieszał, już poznała postać, która wzniesionémi w górę ramiony, zdawała się zasyłać jéj wieczne pożegnanie. Nie mogła się mylić — nikt bowiem inny, jak tylko on, mógł tak tkliwie przemówić do jéj serca! — i nim jeszcze potruchlałe dozorczynie ku oknu pospieszyły, Miriam przechyliła się za okno, i już leciała w głębią przepaścistę!

Tylko szelest sukni w powietrzu, tylko odgłos wykrzyku przestraszonych dozorczyń, który aż do miasta doleciał, były znakiem tego okropnego zdarzenia. Wprawdzie zwinny paż, który sam jeden przytomności umysłu nie stracił, poskoczył szybko do okna, i z własnem niebezpieczeństwem dla ocalenia dziewicy, za koniec jéj cienkiéj, powiewnéj sukni był uchwycił, lecz ta wątła tkanka, nie mogła wytrzymać ciężaru całego ciała; koniec sukni się urwał, a paż w głąb komnaty się zatoczył.

Wkrótce tenżesam przestrach i tosamo zamieszanie, jakie w pałacu surdara panowały, po całém miescie się rozszérzyło. Wszystko co żyło, cisnęło się tłumem za miasto, i biegło ku zamkowéj skale, gdzie Aleksy, równie blady i do trupa podobny, jak owa postać, którą w ramionach trzymał, nieszczęśliwą kochankę do życia przywrócić usiłował. Chociaż bardzo słabo oddéchała, była ona przecież, jakkolwiek to nie prawdopodobném być się wydaje, prócz małych, powierzchownych ran, zupełnie nieuszkodzona. Lecąc bowiem z góry w tę straszliwą przepaść, natrafiała na bujnie rozwinięte wierzby, których sterczące pnie w zaciekłych od deszczu szczelinach, dotąd jeszcze widzieć się dają, a unoszona wiatrem, który jéj suknie wzdymał, nie spadała zbyt wielkim pędem na ziemię — i to ją ocaliło.

Liczne tłumy zgromadziły się wokoło kochanków, i tysiące ust zabrzmiały głośnym podziwem i spółczuciem. Wkrótce zbliżył się mały oddział przybocznéj straży surdara, a nawet w tych najemnych niewolnikach despotycznéj władzy, ozwało się uczucie litości; łagodnie, aczkolwiek bez wahania się, wzięli omdlałą dziewicę z ramion kochanka i oddali ją dozorczyniom haremu, podczas gdy Aleksego odprowadzono pod strażą do więzienia.

* * *

W jednéj z wnętrznych komnat pałacu, po prawéj stronie wielkiéj posłuchalnéj sali *divan-khana*, w swojéj prywatnéj komnacie do tajnych narad przeznaczonéj, siedział srogi władzca Eriwanu, od którego skinienia życie lub śmierć tysiąca zawisły.

Groźna powaga zachmurzała mu czoło; ciemne, pałające oko tkwiło nieruchomie w pstrowzorzystym kobiercu, a usta ssały prawie niepowiadomie wonny dym z bogatego, dyjamentami wysadzonego cybucha.

Dwie tylko osoby stały przy nim w komnacie, osoby, w których rysach, chociaż one jak niebo od ziemi, tak się od siebie różniły, przecież nie można było nie dostrzedz wyrazu spólnego bolesnego uczucia. Jedną z znich był ów olbrzymi Kurdyjczyk, o którym jużeśmy mówili, a który teraz z założonémi na krzyż ramiony, wsparty o okno, w ponurém naprzeciw surdara stał milczeniu. Drugą był ów paż czerkieski, stojący przy boku starego wojownika, strojny w pysznym ciasnoprzylegającym ubiorze, który témbardziéj piękne kształty jego ciała uwydatniał. Paż, rzekliśmy? Nacóż téj tajemnicy! Spojrzyjmy tylko chwilę na tę delikatną płeć oliwną, na te tryskające krwią ustka, w uroczą głąb tych ciemnych zadumczywych oczu, wreszcie na te jedwabno-włose zwoje, które tak pieściwie po szyi spływają — przypatrzmy się temu wszystkiemu na chwilkę, a poznamy, że to nie paż, lecz piękna dziewczyna, że to Czerkieska.

Surdar przerwał pierwszy milczenie, wołając surowym, rozkazującym głosem:

„Przyprowadzić tu więźnia!"

Oblicze Kurda zasuło się jeszcze ciemniejszą chmurą; wszakże nic nie odpowiadając wyszedł bocznémi drzwiami, podczas gdy paż (tak go bowiem jeszcze podług jego stroju nazywać musimy) z trwogą zakrył sobie rękami czoło.

Po kilku chwilach wrócił Kurd z Georgijczykiem i dwoma serajowémi eunuchami, z których jeden miał w ręku złowrogi sznur jedwabny. Aleksy był jak trup blady, lecz krok jego był mocny, wzrok spokojny, gdyż tylko boleść cielesna a nie bojaźń, sił mu ujęła.

»Jako, młodzieńcze?» ozwał się surdar, zmierzywszy Aleksego groźném spojrzeniem. „Więc nie dość ci było na jednéj próbie? Po raz drugi chciałeś jeszcze się wedrzéć do nietykalnéj świątyni muzułmańskiego mieszkania. Jeźli prawo proroka śmiercią temu zagraża, kto na cześć sąsiada swego nastaje, jestże przybytek książęcy mniej czci i uwzględnienia godnym, i możeż być bezkarniéj znieważanym, niż chata ubogiego wieśniaka?"

„Panie,"— ozwie się młodzieniec z uszanowaniem lecz śmiało — „jeźli chciałem odzyskać tę, która już w oczach nieba, była żoną moją, być to może, nie zaprzeczam, iż przeciw ustawom Mahometa wykroczyłem, lecz w tym razie szedłem tylko za wewnętrzném natchnieniem owéj najwyższéj istoty, przed którą zarówno Muzułmanie jak Chrześcijanie się korzą."

„Azaliż ci tak mało na życiu zależy?"

„Moje życie należy do téj, dla któréj z rozkoszą wysączyłbym kroplą po kropli wszystką krew mego serca, dziękując w gorących modłach niebu, iż

mi wolno było oddać w ofierze za nią to życie, które wyłącznie jéj tylko poświęcone było.«

»Są to rozmarzone uczucia wybujałéj młodości;«— odrzekł surdar, uważając badawczém spojrzeniem Aleksego — »w późniejszych latach sambyś śmiał się z twojego szału. Ale słuchaj, co tu powiem« — a przy tych słowach wzrok surdara przybrał wyraz dzikości i utkwił tak ostro w młodzieńcu, jakgdyby go swoim żarem chciał zniszczyć. »Niewolnica musi być moją! Nie wstrząsaj sobą; co powiedziałem — stać się musi! Tobie daruję życie i wolność, i obdarzonego do ojczyzny odeślę, jeżeli mi świętą przysięgą się zobowiążesz, iż nigdy więcéj, pod żadnym pozorem, za nią śledzić nie będziesz, nigdy się do niéj zbliżyć nie zapragniesz, jednem słowem, jeżeli w żadnym odtąd z nią związku nie pozostaniesz.«

Grobowa cisza nastąpiła po tych słowach; pierś wszystkich obecnych, ścisnęła się trwożném oczekiwaniem; na jednę króciuchną chwilkę, trysnęła krew wrzącym prądem ku skroniom bladego młodziana, lecz prawie również prędko rozlała się dawna śmiertelna bladość po pięknem, zamarłem obliczu, a chociaż może w téjże chwilce przelotna myśl o rodzicach, ojczyznie, przeniknęła młodziana; przecież zgasła ona zbyt prędko przed płomieniem tryjumfującéj miłości, i śmiało w górę głowę podniosłszy, rzekł mocnym, stanowczym głosem:

»Nie przysięgnę!«

Na to wydarł się przytłumiony wykrzyk boleści z ust mniemanego pazia.

Czoło surdara zasępiło się groźną chmurą, a z ust jego zabrzmiały zcicha lecz okropnym głosem wyrzeczone słowa:

»Dobrze więc; niechże krew twoja na ciebie samego spada. Wiész, co cię czeka; dozwalam ci ostatniéj pociechy, pociechy religijnéj. Przywołać mu księdza!«

Podczas gdy jeden z niewolników szybko z komnaty wyszedł, aby rozkazu surdara dopełnić, młody paź rzucił się ze łzami do nóg tyranowi, lecz srogi, grożący wzrok jego, odjął mu wszelką odwagę; podniósł się więc w niemej boleści, i z pochyloną głową, z załamanémi w rozpaczy rękoma, wrócił na swoje miejsce.

W téj chwili Kurdyjczyk, który dotąd w głębokiém pogrążony stał dumaniu, wystąpił przed surdara, i zawołał swoim zwykłym surowym, mocnym głosem:

»Kanie, twój towarzysz broni i wierny spólnik wszelkich wypraw i przygód, twój przyjaciel młodości i posłuszny zawsze sługa, który w każdéj potrzebie, w każdém niebezpieczeństwie zawsze był ci po ręce, przy twoim boku w najsroższym ogniu bitwy walczył i zwyciężał — staje z prośbą przed tobą, z pierwszą, a która téż będzie ostatnią, jeżli jéj zechcesz dopełnić — — Nie zechcesz jéj przecie swemu staremu, wiernemu słudze odmówić.«

»Na proroka!« zawołał surdar. »Jestże teraz czas potemu! Przyjdź jutro z swoją prośbą, a nie lękaj się, abym ci odmówił.«

»Jutro« — odrzekł stary wojownik obojętnie — »będzie już za późno. To, o co proszę, może tylko być teraz, w téj chwili dopełnioném — dlatego, musisz mi teraz przyrzec.«

Na to słowo: musisz, oko surdara zaiskrzyło się gniewem, i zdało się prawie, jakby tłumiona dotąd namiętność nagle z wściekłością wybuchnąć miała; wszakże poskromił się jeszcze, i rzekł surowo:

»Muszę? — Wiészże ty, Jussuf-Begu, zkim tu mówisz? Kiedyżto ja co musiałem?«

»Tak jest — musisz khanie — tak rzekłem. Podlesne słówka i nikczemne służalstwo twoich nadwornych zauszników, nie zgadzają się z moim prostym sposobem myślenia, i powtarzam ci zatem raz jeszcze, że, jeżli prośba moja, prośba wiernego ci towarzysza i przyjaciela ma być spełnioną, tedy musi to stać się dzisiaj, i to nim już zapóźno będzie. Khanie, w jedyną nagrodę wszelkich usług moich, jakie ci w tych ostatnich dwudziestu latach wyświadczyłem — daruj życie śmiałemu Georgijczykowi.«

»Na proroka!« zawołał surdar. »Zdaje się, jakbym w téj sprawie miał — nie podług swojego, lecz tylko podług drugich myślić upodobania.«

Dalsze słowa przerwało wnijście kapłana, starca poważnego i sędziwego, który, oile z jego rychłego przybycia wnosić należało, na każdy wypadek był już wprzód przywołany i czekał w poblizkim przedpokoju.

»Znaszli tego młodzieńca, i czy wiész, czego po tobie żąda?« zapytał surdar surowo, podczas gdy wzrok jego najskrytszą głąb serca nieszczęśliwego jeńca przenikać się zdawał.

»Znam go;« — odrzekł kapłan mocnym, nieustraszonym głosem, i podniósł się dumno w górę — »znam go i jestem gotów.«

Długo jeszcze spoczywało oko dzikiego władzcy na smukłéj, wyniosłéj postaci młodzieńca; nieznacznie jednak ponury wzrok surdara przemienił się w spojrzenie podziwu i przychylności, a wreszcie rzekł zwolna i z namysłem, lecz już bez dawnéj surowéj grozy, następujące słowa:

»Ciężko cię doświadczałem; ale jak szczéry, szlachetny kruszec świetno i nieskazitelnie zpod próby wychodzi, tak téż i ty otrzymasz nagrodę za taką cnotę. Jesteś wolnym; musisz jednak jakiś czas jeszcze z nami pod jednym zabawić dachem, gdyż nie przystałoby na surdara Eriwańskiego i naczelnika Kurdyjskiego, abyś oddalił się od niego, nie doznawszy wprzód gościnności w jego domu. — Kiedyż jednak ty, stara głowo,« — dodał surdar, zwracając się do Kurda — »będziesz miał tyle rozsądku, abyś uznał, iż nic nie ma na świecie, cobym ja tak wiernemu słudze i przyjacielowi, jakim ty jesteś, mógł odmówić, skoro to w mojéj jest mocy. — A i ty, syreno, musiałaś się także przeciw mnie sprzysiądz, aby ułatwić ucieczkę dziewczynie, w któréj wdziękach mniemałaś już widzieć niebezpieczną rywalkę, — nic mi nie mów! Wiém ja po tém krnąbrnem spojrzeniu twojém, co mi chcesz powiedzieć; wiém ja, iż szlachetniejsze uczucia były ci do tego pobudką. Dobrze więc, niechże i tak będzie; lecz pamiętaj sobie, iż niebezpieczna jest, nawet w żarcie, lwa drażnić! Ty zaś, czcigodny starcze,« — zakończył spaniałomyślny wielkorządzca Erywański, zwracając się do kapłana — »dopełń obrzędu, dla jakiego tu przywołanym byłeś.«

To mówiąc skinął na niewolników, a ci wrócili wnet z jakąś starannie osłoniętą niewolnicą.

Surdar powstał, zbliżył się do niéj uprzejmie, i odwinąwszy zasłonę, uradował wszystkich obecnych widokiem pięknego, aczkolwiek jeszcze bladego oblicza Czerkieski Miriam, któréj duże czarne oczy najprzód z niewymowną lubością na kochanku zawisły, a potém nieśmiało i wstydliwie ku ziemi się spuściły.

»Ustawy Chrześcijan wymagają,« — ozwał się khan z uprzejmym uśmiéchem, który jego zwykle surowym i ponurym rysom osobliwszego nadawał wdzięku — »aby przy podobnie uroczystym obrzędzie, rodzice lub opiekunowie dziewicy byli obecni; niechże mi wolno będzie zastąpić miejsce tych ostatnich, a już i o podarek narzeczonego się postarano.« Jakoż w istocie zbliżył się przy tych słowach niewolnik, niosący du-

żą srebrną tacę, na której były rozmaite kosztowne przybory, szale, i na której sznurek pereł prześlicznej piękności błyszczał. Oprócz tego zdjął surdar swój bryllantowy pierścień i oddał go kapłanowi. Poczém ujął rękę dziewicy i oddał ją w ręce osłupiałego kochanka, któremu to wszystko zawsze jeszcze tylko lubym, rozkosznym, lecz nie prawdopodobnym snem się zdawało.

Na słowa surdara do kapłana: »Dopełń swojego obowiązku!« odbył się obrzęd ślubny, a dopiéro teraz zaczął Aleksy pojmować i uczuwać swoje tak niespodziane szczęście. Nowożeńcy rzucili się do nóg surdarowi, a podczas gdy młodzieniec nadaremnie wdzięczność swoję słowami wyrazić usiłował, Miriam ujęła szlachetnego Persa za rękę i łzami i całunkami ją okryła.

Łkając z radości, odsłonił sobie paź zasłonięte dotąd rękami lice, a stary kurdyjski wojownik odwrócił się na stronę, aby nie okazał swego rozczulenia; sami nawet nielitościwi eunusi nie mogli ukryć swych twardych serc wzruszenia.

Ale jakież były uczucia tego, który jedném swojém słowem sprawił tę nagłą, radosną zmianę boleści w najwyższe szczęście? tego, który z srogiego i straszliwego władzcy, stał się teraz dawcą tak niespodzianego szczęścia? Na chwilę wprawdzie, jakby owa połysna łuna dalekiéj błyskawicy, rozjaśniło się surowe, szorstkie jego lice jakiemś świętém uroczém uczuciem — może po raz pierwszy i ostatni — i tak zaiste — bo w tejże saméj chwili już ono przeminęło, a dziko poważny surdar przybrał dawny, aczkolwiek złagodzony wyraz twarzy, i wychodząc z komnaty, rzekł do Kurda uprzejmym głosem: »Miéj nazajutrz rano w pogotowiu hufiec dobranych jeźdźców, aby moich g o ś c i bezpiecznie i okazale do najbliższéj rosyjskiéj straży odprowadził.«

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Dziennika mód paryzkich* pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 13ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Ona mnie musi kochać. 2) Wyjątek z dramatu p. n. »Strusiowie.« 3) Nowości literackie. 4) Teatr. 5) Uwiadomienie redakcyi.

W drukarni Piotra Pillera wyszły r. b. — »*Dodatek do zbiorów pieśni ludu.* Zbiorek Kazimierza Józefa Turowskiego.« str. 52 w 8ce. — tudzież: »*Władysław*, Obraz traiczny w 3 aktach. Napisał w sierpniu 1843go roku Kazimierz Józef Turowski.« — str. 47 w 8ce.

Z Warszawy: *Biblijoteka warszawska* na miesiąc czerwiec zawiéra: 1) Dewocyja p. gienerała Kunickiego. Wyjątek z listu ks. St. Chołoniewskiego do I. J. Kraszewskiego. 2) O życiu i pismach Sędziwoja, przez Jul. bar. Brimken. 3) O żegludze parowéj, a mianowicie o zastosowaniu śruby Archimedesa, przez Konst. Rudzkiego. 4) Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego, przez A. A. Kosińskiego. 5) Wiadomości statystyczne o spożyciu w różnych krajach Europy, przez S. 6) Kronika literacka. 7) Rozmaitości. 8) Kronika zagraniczna — biblijograficzna. — Doniesienia literackie. — Dostrzeżenia meteorologiczne.

Największa drukarnia w świecie — jest w Bostonie, w północnéj Ameryce, własności niejakiego Dickingson. Cała oficyna zajmuje 14.000 stóp kwadratowych, składa się z 15 różnych oddziałów, w których, prócz głównej parowéj prasy, mającéj siłę 10 koni, jest jeszcze 34 pras innych, pomijając machiny do rozcinania papieru, wykrawywania kart i t. p. Co nocy pała 100 płomieni gazowych w całym zakładzie. Wewnątrz budynku są dwie wielkie cysterny, z których 550 rur przeszło 1000 galonów wody do różnych części zabudowania sprowadzają. W ciągu roku zeszłego odciśnięto tam przeszło 6 milijonów arkuszy, które wzdłuż siebie położone, opasałyby cały ocean atlantycki. Odlewnia czcionek, wyrabia co roku 50.000 funtów metalu.

Teatr Montpensier, na który, jak wiadomo, Aleks. Dumas pozwolenie otrzymał, już się buduje i będzie w jesieni otworzony. Ma to być największy i najpiękniejszy teatr w świecie, nie wyłączając nawet sławnego teatru San-Carlo w Neapolu. Zmieści się w nim wygodnie 4000 osób. Słychać także o różnych nowych, oryginalnych urządzeniach. I tak np. nie będzie wcale lampionu, który we wszystkich teatrach znacznéj części publiczności widzieć przeszkadza. Natomiast ma być urządzona osobna kopuła o 1000 płomykach gazowych. Rozumie się samo z siebie, że wszystkie loże, galeryje, kurytarze, jasno gazem oświetlone będą. Również i kurtyna nie zostanie zawsze tażsama, lecz będzie się często odmieniać, przedstawiając z kolei najpiękniejsze widoki świata, jako np. lodowce Szwajcarskie, ruiny Greckie i t. p. Trzy czwarte części orkiestry będą pod sceną umieszczone. Tożsamo i lampy na scenie znikną zupełnie, jakoteż i budka suflerska, która stosownie do istniejącego już teraz na teatrach angielskich urządzenia, na boku umieszczoną zostanie. Ztąd proscenijum znacznie daléj niż w jakimkolwiek innym teatrze ku publiczności się wysunie, przeco też i aktorowie ku widzom się przybliżą. Bufety, wschody i loże, będą najpyszniejszémi kobiercami wysłane, a po bokach budynku zostaną otwarte galeryje przybudowane, pod któremi wszystkie powozy wygodnie zajeżdżać będą mogły, tak iż przed głównym wychodem nigdy ścisku nie będzie. Każdy aktor otrzyma osobną lożę z przybocznym umeblowanym pokoikiem, gdzie będzie mógł wypocząć a nawet przespać się; a dla autorów zostaną urządzone umyślnie trzy wielkie loże w środku sali, jedna dla dziennikarzy, druga dla poetów dramatycznych, trzecia dla wszystkich innych pisarzy.

Jaki chléb najlepszy. Powszechnie mniemają, iż chléb czém bielszy tém lepszy. Pewien angielski lekarz dowodzi przeciwnie. Pominąwszy, iż białość chleba nieraz samym ałunem sprawianą bywa, należy jeszcze uważać, że tylko grubsza mąka jest pożywną, bardzo cienka zaś bynajmniéj. O półbiałym chlebie i wodzie, może każdy być sytym i zdrowym, o samym zaś białym chlebie i wodzie, będzie chorował i umrze. Grubsza mąka, z któréj zwykły półbiały chléb się piecze, zawiera wszelkie części, jakie do wyżywienia człowieka są potrzebne; dla zbytniego zaś wybielenia mąki, trzeba niektóre z tych części uprzątnąć, a ztąd wynika, że mąka cienka, zamiast być lepszą od grubszéj, jest owszem najmniéj pożywną, a co jeszcze gorsza, jest najtrudniejszą do strawienia. Życzyćby wypadało, aby ubodzy o tém wiedzieli i nie zazdrościli bogaczom ich zbyt białego chleba, jakoteż aby bogacze odtąd czarnym suchym kawałkiem chleba nie gardzili.

Ciekawy spór prawniczy. Trybunały paryzkie zajmują się obecnie następną sprawą: Pewien notaryjusz, zostawiając przy śmierci żonę przy nadziei, uczynił w testamencie rozporządzenie, aby w razie narodzenia się syna, tenże dwie trzecie części majątku otrzymał, matka zaś, aby tylko na jednéj trzeciéj części poprzestała; gdyby zaś córka się urodziła, na-

tenczas ma córka jedną tylko, a matka dwie części otrzymać. Nuż stało się iż matka bliźnięta, i to syna i córkę powiła. Niektórzy więc utrzymują, iż stosownie do woli ojca, który synowi dwie trzecie części a córce jednę trzecią część zapisał, matka jedynie udziałem ascendentki zadowalniać się powinna. Inni przeciwnie twierdzą, że jako wyraźną wolą ojcowską było, aby matka na każdy wypadek trzecią część otrzymała, tak też ta trzecia część zawsze jej się należy; reszta zaś podług testamentu ma być między dzieci w ten sposób podzielona, aby syn dwie trzecie części téj reszty, córka zaś tylko jednę część otrzymała. Zatém rozpadłby się cały majątek w 9 dziewiątych części, z których 3 części matce, 4 chłopcowi, a 2 dziewczynieby przypadły.

O królu Pruskim Frydéryku Wielkim czytamy teraz niektóre nowe, ciekawe szczegóły umieszczone w świeżo wydanych listach księcia Malmsbury, który w r. 1771m był posłem Angielskim w Berlinie. Między innémi opowiada książę Malmsbury, iż Frydéryk Wielki niczego tak nie skąpił, jak światła woskowego. Przy wszelkich ucztach dworskich sam król oświetleniem się zajmował, a cała królewska rodzina musiała nieraz długo po ciemku siedzieć, nim światła zapalono. W wielu pokojach królewskich pałała przy takich okolicznościach tylko jedna świeca, a gdy książę pewnego razu po tańcu wina z wodą zażądał, odpowiedziano mu, iż wina już nie masz, lecz jest jeszcze herbata. Zresztą i wina i jadło były bardzo liche. Ambasadorowi pruskiemu przy dworze duńskim, żądającemu podwyższenia płacy, aby mógł odpowiednio wystąpić, odpisał Fryderyk wielki z gniewem, iż jest marnotrawcą, iż daleko zdrowiej, chodzić piechotą niżeli jeździć, i że obiady cudze są najsmaczniejsze. — Przecież dla swego fabrykanta fletów, był król Frydéryk nadzwyczaj hojnym i płacił mu za każdy flet po 100 dukatów, które nawet podczas wojny, gdy wszyscy na lichéj monecie przestawać musieli, w należytéj monecie wypłacane mu były, aby królowi najlepsze flety robił. Grając, drżał Frydéryk wielki zawsze z bojaźni, jak nieśmiały dyletant. — Pewnego spiewaka, który się odważył powiedzieć, iż król daleko lepiéj na wojnie niż na muzyce się rozumié, kazał Fryderyk wziąć w rekruty i oddał go swoim gwardzistom. Ci najprzód ubrali biédaka w mundur, kazali mu przez dwie godziny uczyć się mustry, potém przymusili go przez dwie godziny spiewać i tańczyć przed niémi, a wreszcie odprawili go do domu.

Starania o polepszenie losu zwiérząt znalazły i w Paryżu wielu gorliwych zwolenników. Niedawno zawiązało się tamże »stowarzyszenie przeciw dręczeniu zwiérząt« urządzone na wzór podobnegoż zakładu w Mnichowie. Założycielem i prezesem tegoż stowarzyszenia jest słynny lekarz paryzki Pariset, należący do najznakomitszych uczonych Francyi, za którego przykładem poszli także wszyscy prawie sławniejsi lekarze, agronomowie, jakoteż inni zaszczytnie znani mężowie.

Spokojność duszy najwyższém dobrém. Dr. Tronchin ogłosił był następującą receptę na podagrę: »Wstrzemięźliwość, dostateczny ruch ciała, spokojność duszy.« Kolega jego St. Aubin odpisał nato: »Recepta dra. Tronchin należy do tak nazwanej *medicina expectans*, która nie lubi w niczem pośpiechu. Aż do 35go roku życia miałem wielkie uszanowanie dla tego sposobu leczenia, gdyż nigdy dotąd nie chorowałem, a lubo nie zawsze spokojnym na duszy byłem, przecież mniemałem, iż główną rzeczą téj metody jest, używać zdrowia, aż póki choroba nie przyjdzie. Późniéj jednak doświadczyłem niestety na sobie, iż po nadejściu choroby, *medicina expectans* poprzestaje na doradzeniu choremu, aby czekał spokojnie, aż zdrowie samo powróci; a odtąd ostygł nieco mój zapał dla tego sposobu leczenia się. Ztemwszystkiém wierzę mocno w skuteczność przepisu dra. Tronchin, tylko żałuję, iż przepisane przezeń lekarstwa tak trudne są do nabycia i zażywania. I tak np. spokojność duszy jest niezawodnie nieoszacowanym skarbem, lecz skarbem tak rzadkim, iż zpomiędzy 100.000 ludzi zaledwie jedna osoba ją miéć może. Szczęśliwy komu ona w udziele się dostała, wszakże biada temu, komu ją dopiéro zapisywać potrzeba. Po największéj części nie od nas ona zależy.

Zabobon Arabów. W ostatnich tygodniach kwietnia tego roku panowały w Algieryi tak gwałtowne, od puszczy Sahary wiejące wiatry, iż ździbła żyta jeszcze przed dojrzeniem kłosów żółknąć poczęły, przeco wielu gospodarzy, aby przecież jakiś z uszkodzonego zboża miéć pożytek, takowe na paszę dla bydła kosić musiało. W tak nieprzyjemnym stanie rzeczy przybył pewien marabut, t. j. kapłan arabski, do wsi Koleah, zamieszkanéj po części przez Arabów a po części przez Chrześcijan. Arabowie pochwycili marabuta i zanurzyli go wielokrotnie w cysternie, w któréj zwykle bydło pojono. Po téj łaźni, odbytéj śród tajemniczych modłów i zaklęć, rzucili się wszyscy na kolana przed świętym mężem, błagając go, aby u proroka zesłanie deszczu uprosił. Na wiadomość o tym obrzędzie, oznajmił tamtejszy ksiądz katolicki, iż dnia następnego procesyję dla uproszenia deszczu z nieba odprawi. Jakoż rzeczywiście odbyła się procesyja, a we 24 godzin spadł dészcz w istocie. Rozeszła się więc powszechna pogłoska pomiędzy Arabami, iż Chrześcijanie modły marabuta podchwycili i za wstawieniem się proroka, dészczu się doczekali.

Potwór Australski. Cuda Australskiego królestwa zwiérząt nie są jeszcze bynajmniéj wyczerpane. Ma tam być jeszcze olbrzymi płaz, nazywany w języku krajowców Bunyip, który z postaci jest niejako pół ptakiem a pół aligatorem. Pływa jak żaba, a na lądzie chodzi na tylnych nogach, mając tak do 13 stóp wysokości. Jest uzbrojony pazurami, niesie duże jaja, a pokarmową zdobycz swoją przydusza ciężarem swego cielska. Jeden z krajowców pokazywał podawcy téj wiadomości ślady pazurów Bunyipa na swoich piersiach.

Wygoda ze spółki. Złe języki paryzkie opowiadają sobie »scenę« zdarzoną w salonie jenerała Jomini, u którego poseł szwecki, grający z pewnym bankierem w karty, temuż nagle karty w oczy rzucił, ponieważ bankier, nie wiedząc iż poseł po niemiecku rozumie, w tymże języku niektóre uwagi nad błędami gry posła czynił. Nazajutrz spotkał się bankier z jednym ze swoich kolegów, który go spytał: »Jakto, więc to jest prawda, że on panu karty w oczy rzucił?« — »Ta cóż, rzucił, ale było ich tylko trzy czy cztéry;« odrzekł zapytany z anielską cierpliwością. — »A panżeś go nie wyzwał?« ofuknął go kolega. — »Byłbym go chętnie wyzwał, ale cóż, kiedy mój spólnik nie chciał na to pozwolić.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.